

ANDRZEJ
MULARCZYK

CUDOWNIE
OCALONY



SAGA
EGMONT

ANDRZEJ
MULARCZYK

CUDOWNIE OCALONY



Andrzej Mularczyk

Cudownie ocalony

Saga

Cudownie ocalony

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1989, 2021 Andrzej Mularczyk i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726878646

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

1.

Wrześniowy świt już przetarł szyby i rozróżowił niebo, a w domu Mikołaja Biesagi troje ludzi dotąd nie zasnęło, choć wszyscy mieli zamknięte oczy. Hanka, jedyna córka Mikołaja, nie otwierała ich ze zwykłej skromności, a leżący obok niej Rajmund Jelonek miał oczy zamknięte z ostrożności; jeszcze w wojsku stojąc na warcie przekonał się, że jeśli oczy zamknie, to mu się uszy otwierają, wszystko lepiej słyszy. Nie chciał, by Mikołaj Biesaga, chcąc sprawdzić, czemu to tak jego córka rzuca się całą noc po sienniku jęki przytłumione wydając, jakby ją zmora jakaś dusiła, zastał go w pościeli. Tego Jelonek bał się najbardziej; jako ambitny urzędnik nie chciał dać się przyłapać na łamaniu prawa. A dla Mikołaja Biesagi niewzruszonym było prawem, że jego jedyna córka może się znaleźć w jednym łóżku z mężczyzną dopiero po ślubie i — to kościelnym.

Ale tej nocy Mikołaj inne głosy i jęki słyszał, te, co od środka w nim się kołatały, buzowały pod czaszką jak płomienie ognia w pełnej stodole. Słyszał świst przeciągły, jakby ktoś cyrkularką ciął tarcicę, potem stęknienie ziemi, wybuchem unoszonej w powietrze, a do tego rozpaczliwy kwik rażonych odłamkami koni, które szarpią się przy dyszlu taczanki. Pod zamkniętymi powiekami widział siebie samego, Mikołaja Biesagę, celowniczego CKM, jak zrywa się z leśnego mchu, jak roztrzęsionymi rękami zbiera hełm grzebieniasty, pas z ładownicą, a tu pod nim ziemia drży, pociski łamią drzewa, odłamki tną gałęzie sosen. Świst przewiercał uszy na wylot. Zaraz będzie stęknienie

wybuchu. Przykucnął, uniósł oczy w górę, na koronę drzewą, różowiejącą we wstającym wrześniowym świetle i ujrzał, jak ścięty pociskiem artyleryjskim czubek potężnej sosny, niczym wotywna gromnica ostrą kosą, wali się na dół. On zasłania głowę. Trzask gałęzi spadających na taczankę, jej koła łamią się jakby szprychy były z zapalek. Wokół ułani czołgają się pod grubsze drzewa; porucznik Zawada w grzebieniastym hełmie chce chwycić spłoszonego konia i nagle mięknie jak przekłuty balonik i osuwa się na krzaki borówek. Mikołaj widzi siebie, jak dopada zaplątanego w szleje konia, przytula twarz do chrapów Fantoma, jakby u niego szukał ratunku przed tym piekłem, które rozszalało się w cichym dotąd borze...

Teraz dopiero Mikołaj otworzył oczy, popatrzył z łóżka w różowiejące okno, jakby chciał się upewnić, że ten świt wrześniowy to nie tamten i ta blizna pod obojczykiem, co go tak dzisiaj okrutnie całą noc piekła, to nie świeża rana o poszarpanych brzegach, tylko dowód, że i z samego środka piekła można się wydostać na ten najpiękniejszy ze światów. Zza okna zaglądały do środka wyschnięte słoneczniki, wokół cisza zaległa, jakby cały świat wymarł, tak że Mikołaj słyszał swój przyspieszony oddech. Otarł ręką spocone czoło, próbował wsprzeć się łokciem, ale zwalony jakąś niemocą opadł na skotłowaną po tej nieprzespanej nocy poduszkę. Jeszcze wczoraj orał poplony, tonę nawozów sam przeniósł w workach z szopy na wóz, co więc się stało, że oto nagle nie może unieść ręki, w głowie coś świszczuje, jęczy, gra, a blizny pieką, jakby ktoś je przyżegał rozpalonym pogrzebaczem. Zdawało mu się, że łóżko razem z podłogą dygoce pod nim, a to tylko dygotała ta ziemia w Borach Tucholskich, ryta pociskami, przewiercana odłamkami. I znów czaszkę przeszył mu wizgot pocisku, poczuł w mięśniach ten sam nagły skurcz, co go wówczas do ziemi przygiął, a potem liznął go

podmuchał wybuchu, co go wtedy uniósł nad ziemię i wcisnął w młodniak; oczy zamknął i poczuł, jak się na niego coś ciepłego leje. Nad nim stał pochylony dziwnie Fantom, jakby chciał mu coś cicho wyznać; aksamitne powieki na wpół przymknięte, chrapy drgające, a z rozdartej odłamki szyi leje się krew; Fantom patrzył na niego jakby chciał przeprosić, że nie posłucha już rozkazu, potem jego kolana ugięły się i wyciągając jeszcze szyję, jak wówczas, gdy na manewrach płynął pod wartki prąd rzeki, padł na bok, przywierając grzbietem do Mikołaja.

Kołdrę z siebie odrzucił, jakby była tak ciężka, jak wówczas Fantom, co z Cyganką chodził w parze. Ale wcale nie było mu źle oddychać, pod obojczykiem zapiekło, jakby go ktoś widłami dźgnął. Rękę położył nad sercem i oczy zamknawszy znów zobaczył siebie samego: klęczy nad Fantomem, jakby liczył, że ten go jakimś słowem ludzkim pożegna i wcale nie słyszy wybuchu, po którym z ułana Rozpędka, amunicyjnego, tylko drgające buty zostają. Czuje tylko smagnięcie nad sercem, chrupot jakiś przy obojczyku, jakby ktoś w budziku sprężynę przekręcił, i słyszy tak od środka łomot swego serca, które pompuje pracowicie krew, wypływającą mu ciurkiem z rękawa munduru: duch-tu-tuch, duch-tu-tuch... Prawą szarpie guziki, wkłada rękę pod bluzę, po żebrach wspina się wyżej, a jak ją wyjmuje, to już wie, że jego i Fantoma jednaki los. Wokół piekło pochłania ludzi i konie, Mikołaj traci już rozeznanie, gdzie niebo, a gdzie ziemia, wszystko wiruje mu przed oczyma, tańczą nad nim korony drzew, a za chwilę zdaje mu się, że na jakichś skrzydłach anielskich ulatuje w niebo i z góry patrzy sam na siebie: obejmuje rozłożonymi rękami pień sosny jak baby w jego wsi kolana biskupa, po czym zsuwa się w dół, czując chropowate głośnięcie kory, a potem ogarnia go zapach mchu i wrzосу, w który zapada jego twarz. A cały ten koncert piekielny odpływa gdzieś, słyszy tylko w uszach

przeciągły ton trąbek, uderzenia bębna, trzask czyneli, jakby orkiestra pułkowa na jabłkowitych koniach grała marsz generalski, ale Mikołaj wie, że tym razem to mu grają trąbki anielskie, długie, pozłacane, jakie trzymały przy ustach pucate aniołki w kościele garnizonowym.

Ile już godzin dręczył go ten dźwięk przeciągły? Znów odezwały się trąbki anielskie, jakie wtedy miały go powitać w niebie, gdy będzie wjeżdżał wierzchem na Fantomie, by się zameldować jako celowniczy taczanki plutonu CKM. I może gdyby nie rozjęczały mu się w głowie te trąbki, to by się tak nie przestraszył, że oto po raz drugi w życiu przyszedł na niego koniec. Pierwszy raz, gdy odłamki zabębniły po jego hełmie, pomyślał, że tak będą dudnić grudki ziemi rzucane na jego trumnę, a nad tą trumną nie stanie ani jego jasnowłosa Maryjka, którą we wsi wołali „Niechcąca”, bo nie chciała ani młynarza, ani syna organisty, tylko bezrolnego Mikołaja Biesagę; nie stanie nad mogiłą jego synek jedyny, co akurat ukończył dwa latka, kiedy Mikołaj dostał kartę mobilizacyjną; przyszło mu się z życiem żegnać, kiedy pożyć nie zdążył jeszcze i wówczas ta tęsknota za tym, co miałyby utracić, kazała mu dźwignąć się z wrzosów. Klęcząc pośród dymu i ognia uniósł obie ręce ku niebu, by złożyć ślubowanie: „Najświętsza Panienko, Maryjko-Orędowniczko nasza, ocal mnie z życiem, a ja, Mikołaj Biesaga ze wsi Krowinka w podzięcie grootę dla Twojej chwały pobuduję”....

Patrzą na Mikołaja uważne oczy Matki Boskiej. To dla niego przeznaczony jest jej łagodny uśmiech. Okrywa ją niebieski płaszcz, ma czerwone usta nieco zbyt wydatne, bo ten, co malował porcelanową figurkę, nie żałował farby ani na usta, ani na ciemne loki małego Jezuska, ani na złotą koronę. Stoi na skraju starej szafy i stamtąd patrzy na szarpiącego się w pościeli Mikołaja, a on czuje zawarty w tym spojrzeniu wyrzut, którego nie łagodzi bynajmniej ów

karminowy uśmiech. Ma wrażenie, że czeka na jakieś jego usprawiedliwienie, bo obydwójce wiedzą, że jedno z nich jest w porządku. Ale co ma jej rzec? Że przyszedł na niego koniec, jak wówczas, kiedy te piekące całą noc blizny raną otwartą były? Czy znów ma ręce złożyć do ślubowania?

Ostatkiem sił oparł się na łokciu i przez suche gardło dobył z siebie wołanie: „Haaaaankaaa!!” Ale to wołanie tak go osłabiło, że opadł znów na poduszki jak rażony odłamkiem i zamknął oczy, a wówczas znów ziemia uniesiona wybuchami przesłoniła mu niebo, a w uszach rozbrzmiały trąbki anielskie...

Kiedy tylko Mikołaj zamknął oczy, w tym samym momencie otworzył je Rajmund Jelonek. Po to je trzymał zamknięte, żeby złowić każdy szelest, każdy głos, który zapowiadać mógł niebezpieczeństwo. I teraz jego dłoń zacisnęła się na odkrytej piersi Hanki, jakby chciał przytrzymać rwącego się do lotu gołębia. Hanka dalej miała zamknięte oczy, zasłuchana we wspólny rytm ich oddechów.

— Jakiś głos — Jelonek łaskotał oddechem jej szyję.

— O tej porze nawet ptaki śpią — odszeptała Hanka.

— Córciaaaa! — poprzez ściany przebiło się przytłumione wołanie. Jelonek klęknął na łóżku, gotów do skoku.

Mikołaj próbował zsunąć nogi z łóżka, ale poczuł, że są wiotkie jak u chochoła ze słomy. Zebrał siły i bardziej zajęczał niż krzyknął: „Haaankaaa”...

— Słyszałaś? — Jelonek szarpnął Hanke, chcąc ją zmusić do otworzenia oczu.

— Co?

— Jakiś okrzyk czy błaganie...

— Zdawało ci się.

Ręka Mikołaja macała podłogę obok łóżka. Jeden but zdołał już znaleźć i rzucić nim w ścianę, ale jakoś nie

przywołało to córki. Natrafił na wykrzywiony nosek starego półbuta i rzucił nim o ścianę nie zginając ręki w łokciu, jak porucznik Zawada uczył ich rzucać granat zaczepny. But przeleciał łukiem obok seledynowego żyrandola i spadł na wierzch zegara z kukułką, który zerwał się z haka i uderzając o podłogę, obudził dawno nieczynną kukułkę: wyskoczyła ze swego kółeczka i zgrzytając sprężynami kukała niczym gość weselny, co po bimbrze dostał czkawki.

Słyszając łomot i natrętne nawoływanie kukułki, Hanka wyswobodziła się z ramion narzeczonego. Na kołdrę padły kolejne części garderoby, które nocą jeszcze Jelonek, wślizgnąwszy się przez okno, porządnie poskładał na krześle, bo nie chciał nazajutrz zasiąść za biurkiem w pogniecionej koszuli. Hanka wciągnęła niepotrzebną dotąd nocną koszulę w różowym kolorze. Szeroko otworzyła okno, szykując Rajmundowi drogę odwrotu. Za oknem kipiały gęste krzaki malin i Jelonek, przekładając nogę przez parapet, miał taką minę, jakby w środku stycznia miał wskoczyć do przerębla.

— Po ślubie nie będziesz musiał! — Hanka ostatnim pocałunkiem podziękowała mu za starania minionej nocy i Rajmund z jękiem zanurzył się po pas w malinach.

Hanka zamknęła okno i chciała biec do ojca, ale zatrzymało ją pukanie w szybę. Z krzaków malin patrzyła na nią twarz przykucniętego Jelonka.

— A teczka? — wyciągnął rękę — Przecież ja stąd prosto do roboty.

Ledwie tyłem wycofał się z maliniaka, a już usłyszał za plecami groźne szczekanie, przechodzące w bulgot. Zanurzył rękę w teczce i wyciągnął przygotowany zawczasu dla Kosmosa kawałek kiełbasy. Wepchnął go w rozwartą paszczę pół-wilczura, pół-owczarka. Teraz miał akurat tyle czasu, by biegiem dotrzeć do dziury w płocie.

Mikołaj z wyrzutem spojrzał na zamilkłą już kukułkę i złożył ręce na piersiach, jakby tylko czekał, że ktoś mu w nie wetknie gromnicę.

— Żeby ją wilcy, no! — westchnął. — Ojciec żegna się ze światem, a ta śpi, koczebicha jedna!

Mówił, śpiewnie zaciągając, tak że dla kogoś, kto by pierwszy raz słuchał mowy Mikołaja Biesagi, zabrzmiałoby to bardziej jak litania, niżli jak przekleństwo.

Leżał, nadśłuchując kroków skradającej się niechybnie śmierci i zastanawiał się, czy Kosmos ujada na podwórzu z taką zajadłością właśnie na nią.

Jelonek dopiero za płotem poczuł się bezpieczny. Rozprężył ramiona. Miał przed sobą łąki, ciągnące się aż do leniwej strugi, a na łąkach kępy wikliny, a w tej wiklinie ukryty motocykl „Jawa-350”. Usiadł na siodełku i zaczął zawiązywać krawat, przeistaczając się w ten sposób z amanta w osobę publiczną. Patrzył w stronę obejścia Biesagów i nie po raz pierwszy stwierdził, że wraz z Hanką dostanie mu się niełichy kawał ziemi i porządne obejście. Uważał, że w pełni na to zasługuje. Wprawdzie przy swoich dwudziestu czterech latach włosy miał tak rzadkie, że czoło sięgało mu potylicy, ale za to przy swoich dziewięćdziesięciu kilogramach popisowo tańczył twista z figurami, był instruktorem jazdy w LOK-u, miał motocykl i był zapraszany na wszystkie wesela i uroczystości w całej okolicy, bo od niego w dużym stopniu zależał przydział eternitu, cementu czy tregrów na budowę.

Patrzył teraz na leżące na skarpie obejście Biesagi jak na port przeznaczenia: dom był piętrowy, choć od czasu jak wszyscy trzej synowie Mikołaja opuścili Lutomyśl nikt na górze nie mieszkał; obok pyszniącego się szarym tynkiem i czerwoną dachówką domu raziła byle jak sklecona z szarych już od deszczu desek dziurawa stodoła. Ta stodoła

to był wrzód na duszy Mikołaja Biesagi: wolałby pewnie mieć dom z desek, a stodołę murowaną, ale co miał zrobić, kiedy przybył tu z transportem repatriacyjnym ze swojej Krowinki jako ostatni i tylko to obejście na uboczu wsi było jeszcze wolne. Należało kiedyś do rzeźnika Jägersa, który zamiast stodoły miał piękną stajnię, oborę, a obok niej szlachtuz z rzędem haków i cementowymi rowkami do odpływu juchy. Obok było drugie obejście ze stodołą wielką jak katedra, ale przed Biesagą zajął ją niejaki Zygoń, który tak gospodarzył, że jemu na zboże wystarczyłaby komórka, w jakiej Mikołaj trzymał pordzewiałe lemiesze pługów i zęby od brony, co się dawno rozsypała.

Te dwa gospodarstwa objęte były ramionami dwóch dróg: jedna, trzeciej klasy, łączyła z powiatem, a druga polna — wzdłuż płotu Zygonia i Biesagi prowadziła do lasu i do PGR-u.

Jelonek patrzył na obejście Mikołaja, ale nagle ten obraz przesłonił mu widok bujnych kształtów Hanki, której ciało i dusza kryły jeszcze przed nim sporo tajemnic. Pomyślał z satysfakcją, że musi mieć dla kobiet jakiś nieodparty czar, skoro Hanka mimo strachu przed ojcem nie kazała mu czekać z dowodami miłości aż do ślubu. Wyciągnął z łoziny motocykl „Jawa”, ale motoru nie zapalał, żeby nie ściągnąć na siebie przypadkiem podejrzeń Mikołaja. Stary nie ukrywał, że córka u niego idzie równo z końmi, a koni swoich nikomu by nie pożyczył.

*

Zamiast oczekiwanej śmierci zjawiała się przy łóżku Mikołaja Hanka w nocnej koszuli, przecierając oczy, jakby dopiero co właśnie ocknęła się ze snu.

— Aj, dziewuchna ty moja — Mikołaj poskarżył się córce śpiwnym głosem. — Przyszedł chyba na mnie koniec.

— Co też tata plecie? — miało to niby pocieszyć starego, ale po tych słowach twarz Mikołaja stężała nagle, a ręka jego wczepiła się pazurami w miejsce na piersi, które przecięte było blizną jak śladem błyskawicy.

— Ty nie dziermol, córcia — wyszeptał przez zaciśnięte zęby. — Taż ja by darmo gęby nie studził!

— Co się ojcu stało?! — przypadła teraz do łóżka i zaczęła ścierać brzegiem nocnej koszuli pot z czoła Mikołaja.

— Przez całą noc w głowie mnie kołędzi się, trąbki anielskie ja posłyszał, jęk i huk bezlitosny. Znaczy się, czas mi na ostatni apel.

— Lecę po doktora! — Hanka ucałowała blade ręce ojca i już była przy drzwiach, kiedy zatrzymało ją głębokie westchnięcie chorego.

— Szkoda fatygi, córcia. Po księdza dobrodzieja ty galopem gnaj! — znowu westchnął i jakby na dowód, że zrywa wszelkie ze światem kontakty, odwrócił się twarzą do ściany. — Ja z tego już w żaden sposób nie wykaraskam się.

Dopadła do łóżka, szarpnęła ramię ojca i przewróciwszy go na plecy, wpiła oczy w jego twarz:

— Co to, to nie! Tego mi ojciec nie robi! Najpierw wesele, a potem stypa!!

Mikołaj słysząc to wywalił oczy, jakby zobaczył diabła w nocnej koszuli córki. Pokonując słabość, wsparł się na łokciach i kręcąc głową na długiej szyi niczym stary gąsior wysyczał prosto w twarz córki:

— Ot, bezlitosna bzdągwa! W ostatnią moją godzinę ona hańdry-mańdry zaczyna?! Żeby ciebie wilcy razem z tym twoim narzeczonym! Mało że mnie rany zapiekły, jakby je kto rozpaloną kociubą przyżegał, to mnie teraz wątroba do góry kopytami ze złości stanąwszy!!

Widząc na szyi Mikołaja nabrzmiewające żyły, grube niczym postronki, Hanka nie wdawała się w dalsze

dyskusje.

*

Fantom i Cyganka rwały do przodu, jakby zaprzężone były nie do wozu, lecz do taczanki CKM. Oba były siwe, ale wszystkie konie Mikołaja, czy to kare, gniade czy myszate, przejmowały te same nazwy, jakie miały tamte od jego taczanki. Teraz szły ostro, ich kopyta krzesły iskry na kamieniach. Hanka przefrunęła koło bramy PGR-u i choć pędziła, by nie spóźnić się z ostatnią posługą, kątem oka zauważyła ze zdziwieniem, że brama do majątku, która chyba od czasu referendum była zawsze szeroko otwarta, dziś broniła dostępu do widniejącego w głębi pałacyku. Co dziwniejsze, stała przed nią grupa wzburzonych czymś kobiet, które sprawiały wrażenie straży broniącej wstępu za sztachety z kutego żelaza. Jedna z nich trzymała zbity z brzozy krzyż, jakby miała za chwilę poprowadzić pielgrzymkę...

A konie gnały, konie niosły jak do pożaru i Hance serce się skurczyło na myśl, że miały ją ojcowskie siwki powieźć do ślubu, a może kogo innego pociągną na cmentarz. I poczuła wyrzuty sumienia, że tej nocy za ścianą, oddzielającą ją od ojca, tyle nagrzeszyła...

*

Ksiądz Jamrozik jednym zdmuchnięciem zgasił na ołtarzu trzy świece naraz. Miał pojemność płuc jak miech kowalski. Gdy nabierał powietrza, żeby zaintonować „Matko Przenajświętsza, nie opuszczaj nas” — sutanna trzeszczała pod pachami. Gdy teraz odwrócił się od ołtarza, stwierdził z goryczą, że w ławach kolatorskich jest tylko siedem kobiet, z czego dwie tylko dlatego się tu znalazły, że nie zabrał ich pierwszy PKS do powiatowego miasta.